

ROZDZIAŁ 1

Obudził mnie plusk wody. Otworzyłem oczy i nie bez trudu zogniskowałem wzrok na tafli jeziora. Promienie słońca skrzyły się w miniaturowych falach, niemal mnie oślepiając. Leżałem zanurzony do połowy w płytkiej, piaszczystej zatoczce. Obrazek miałby swój urok, gdyby nie okoliczności. Było mi po prostu cholernie zimno i bolała mnie potylica.

Bezwiednie sięgnąłem ręką za głowę i natychmiast syknąłem. Czał się tam tęgi guz. Co więcej, na palcach dłoni dostrzegłem krew. Upadłem i uderzyłem się w głowę? To możliwe, zatoczka łączyła się ze stromą skarpą. A może jednak ktoś mi w tym pomógł? Wrodzona mizantropia na każdym kroku kazała mi wątpić w szlachetne pobudki osób trzecich, więc jak najbardziej dopuszczałem taką możliwość. Tylko komu mogłem się aż tak narazić?

I wtedy to do mnie dotarło. Nie wiedziałem, co tu robię, nie wiedziałem w ogóle, gdzie jestem i jaki mamy dzień tygodnia. Ba, nie znałem nawet przybliżonej daty! Mimo że drżałem z zimna, poczułem, jak oblewa mnie fala gorąca. Natychmiast zrobiłem rachunek sumienia. Personalalia? Znam. Wiek, zawód, stan cywilny? Podobnie. Co robię z rozbitą głową nad brzegiem jeziora? Niestety, tu nie zgłosił się żaden kandydat do odpowiedzi. Tymczasem kolejne pytania ustawiały się przede mną w rzędzie, a każde błagało o uwagę.

Słońce zaczęło słusznie przygrzewać, więc ściągnąłem mokrą koszulę. Spodni wolałem się nie pozbywać. Wszedłem po pas w wodę i dokładnie się rozejrzałem. Bingo. Okolicę rozpoznałem od razu. Przede mną, na wschodzie, w odległości blisko 200 metrów majaczył pomost, za którym widniała kameralna plaża ośrodka wypoczynkowego. Spojrzałem w lewo, na północ.

Tak, była tam. Niezmienna, niewzruszona, piękna. Przeszło 30-metrowa ceglana wieża wznoszącego się na wiekowym wzgórzu zamku nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do mojej lokalizacji. Byłem w Łagowie na Pojezierzu Lubuskim — niegdyś komandorii rycerskiego zakonu joannitów, dziś znanej miejscowości turystycznej, którą z pasją odwiedzałem co lato. Pytanie, w którą stronę skręcił mój tegoroczny wypoczynek, skoro obudziłem się z pustką w poranionej głowie.

— No elo, panie redaktorze! — ktoś krzyknął w moją stronę. — Ciężka nocka? Niech pan wypije wodę po ogórkach! Widzimy się dziś wieczorem na zamku. Nie możemy się pana doczekać!

W rozbłyskach słońca dostrzegłem przecinający jezioro rower wodny z parą turystów. Wyglądali na stare, dobre i, szczerze mówiąc, upierdliwe małżeństwo. Jakoś nie zapalałem do nich miłością, ale szybko usprawiedliwiłem się przed sobą bólem głowy. Oboje zamachali mi, a ja zrewanżowałem się tym samym gestem.

— Będę punktualnie! — odkrzyknąłem, zdając sobie sprawę, że nie znam tych ludzi i nie mam pojęcia o żadnym spotkaniu. Zmełłem w ustach przekleństwo. Sytuacja zaczynała mnie irytować bardziej niż sam ból głowy.

Choć nieraz publikowałem materiały o historii tych okolic, w Łagowie pojawiałem się raczej prywatnie, korzystając z zasłużonego wypoczynku. A jednak ktoś mnie rozpoznał. Mało tego, zasugerował, iż powinienem pojawić się na zamku, być może nawet jako bohater określonego spotkania. Niestety, nie miałem pojęcia, jakiego.

Rana na głowie wskazywała na solidny uraz. Czyżbym doznał wstrząśnienia mózgu? Najwyraźniej cierpiałem na amnezję wsteczną, która mogła być wynikiem silnego uderzenia w potylicę. Jak dużo zapomniałem? Tego nie mogłem stwierdzić, nie znając nawet bieżącej daty.

Niemal odruchowo złapałem się za tylną, lewą kieszeń spodni, szukając telefonu. Oczywiście go tam nie było. Za to w prawej trafiłem na klucz z bre-

lokiem w kształcie domku z wygrawerowanym numerem 20. I to już był konkretny trop. Znałem ten klucz i kojarzyłem, które drzwi otwiera. Spojrzałem od razu na prawy nadgarstek, wiedząc już, co zobaczę. Silikonowa opaska w kolorze turkusu zaświadczała, że byłem klientem ośrodka wypoczynkowego po drugiej stronie jeziora. *Your story starts here*, głosiło wytłoczone na niej hasło. W tym musiał być jakiś morał.

Postanowiłem czym prędzej dostać się do domku nr 20. Zakładałem, że tam właśnie odnajdę wszystkie odpowiedzi. Do wyboru miałem 2,5-kilometrowy marsz wokół północnego krańca jeziora lub... krótką drogę wpław. Oczywiście zdecydowałem się na bramkę nr 2. Lubię pływać, a poza tym zależało mi na czasie i z pewnością nie chciałem paradować z rozbitą głową w pełnych wody trampkach przez środek miejscowości letniskowej.

Jezioro należało do typu rynnowego, więc było długie, ale wąskie. W najszerszym miejscu miało 600 metrów. Mnie dzieliło od drugiego brzegu ledwie 200. Pestka. Pływałem tu już wielokrotnie, choć musiałem przyznać, że nigdy w dżinsach i butach.

Przeciągnąłem się i wykonałem kilka skłonów, upewniając się, że nie zrobi mi się nagle słabo. Wolałem nie zemdleć na środku jeziora w miejscu, gdzie do dna miałem blisko dziewięć metrów. Marny był ze mnie Martin Eden.

Ból głowy doskwierał mi nadal, jednak nie pojawiły się żadne zawroty. Doskonale. Gdyby jeszcze wróciła mi pamięć... Niestety, najwyraźniej wzięła ze mną rozbrat. Zapewne leżała gdzieś na dnie, obok zgubionego telefonu.

Przewiązałem koszulę wokół pasa. Nie chciałem jej zakładać, bo za bardzo krępowałyby mi ruchy. Suchy już tors i ramiona natarłem wodą. Zszedłem po piaszczystym dnie zatoczki parę kroków w głąb toni. Rozejrzałem się wokół z nadzieją, że nie wpłynę komuś pod rower wodny, kajak czy inną ukochaną przez turystów jednostkę.

Zamknąłem oczy, by ograniczyć bodźce, i gotowy na *mindfulness* ruszyłem żabką w stronę ośrodka po drugiej stronie jeziora. Pokonanie 200-

metrowej trasy tym stylem zajmowało mi zazwyczaj osiem minut. Zakładałem, że teraz będę płynął co najmniej dziesięć. Wystarczająco, by się odprężyć i przemyśleć sytuację.

Co wiedziałem? Niestety, prawie nic. Obudziłem się bez pamięci w małej zatoczce Jeziora Łagowskiego i chwilę mi zajęło, nim skojarzyłem, gdzie w ogóle jestem. Ból rozsadzał mi czaszkę, a na potylicy miałem krwawiącą ranę. Na skraju świadomości błąkało się przypuszczenie, że odpowiedzialny za to był ktoś trzeci. Co gorsza, choć doskonale znałem swoje personalia, nie wiedziałem, jaki mamy dzień, co w ogóle tu robię i czy przyjechałem sam. Wbrew sugestiom turystów, z którymi wymieniałem wątpliwe uprzejmości, nie miałem kaca, ergo mój stan nie był efektem spożycia alkoholu. Nie znalazłem telefonu, dokumentów zresztą również. Za to w kieszeni spodni odkryłem klucz do domku nr 20 w ośrodku wypoczynkowym po drugiej stronie jeziora. To sympatyczne skądinąd lokum wynajmowałem już kilkakrotnie, więc mogłem założyć, że podobnie było i teraz. A jednak nie tylko nie pamiętałem swojego przyjazdu, ale i prawdopodobnie kilku ostatnich miesięcy. Ta konstatacja przeraziła mnie najbardziej. Nie znałem bieżącej daty, owszem, ale niewątpliwie był to szczyt letniego sezonu. Tymczasem ostatnie wyraźne wspomnienia miałem z końca zimy. Cierpiałem na amnezję wsteczną i prawdopodobnie ktoś mi w tym pomógł. Źle się działo w państwie duńskim...

Mało tego, oczekiwano mnie ponoć na zamku jeszcze dziś. Gdy obudziłem się w zatoczce, pozycja słońca wskazywała na poranek. W warowni zakonu joannitów powinienem pojawić się wieczorem. O której dokładnie, po co, w jakim charakterze? I czy mógłbym się wymówić bólem głowy? Nie miałem ochoty z nikim się dziś bratać. Z drugiej strony paląca potrzeba odzyskania wspomnień nie pozostawiała mi wyboru. Najpierw jednak musiałem dostać się do domku letniskowego z nadzieją, że znajdę tam choć podpowiedzi. I suchą zmianę ubrań, rzecz jasna.

Otworzyłem oczy, by natychmiast zmrużyć je w obronie przed refleksami słońca. Pod powiekami zatańczyły mi powidoki. Zdążyłem jednak dostrzec, że na pomoście i plaży nie brakowało turystów. Wychodząc z wody w dzinsach i trampkach, mogłem wzbudzić zainteresowanie, którego chyba jednak wołałem uniknąć. Skierowałem się więc na prawo i po chwili dopłynąłem do brzegu z porośniętą mieszanym zagajnikiem skarpą. Wyżej rozpościerał się już teren ośrodka.

Wydostałem się na ścieżkę, rozejrzałem dookoła i z zadowoleniem przyjąłem fakt, że nie było tu nikogo, kto zauważyłby moją obecność. Na skarpę wołałem się nie wspinać, zwłaszcza że na jej szczycie stało kilka domków wykupionych przez prywatnych właścicieli. Nie chciałem przechodzić przez cudze posesje. Ruszyłem więc w prawo, minąłem trzy puste pomosty z przycumowanymi łódkami i w cieniu rzucanym przez buki dotarłem po 100 metrach do łagodnego stoku. Wspiąłem się nań i ruszyłem wewnętrzną drogą należącą do ośrodka Lake Park.

Wbrew pozorom anglojęzyczna nazwa nie stanowiła dowodu na pretensjonalność właścicieli. Po II wojnie światowej, gdy ziemie zachodnie trafiły do macierzy, zorganizowano tu popularne pole namiotowe przekształcone w latach 60. w ośrodek Promyk. Władze ludowe uznały go za szczególnie atrakcyjny dla turystów zagranicznych. I faktycznie, obce języki można było w Łagowie usłyszeć często. Po upadku żelaznej kurtyny i transformacji ustrojowej ośrodek już regularnie gościł Niemców, Francuzów i Holendrów. Ci ostatni upodobali sobie Łagów szczególnie. Promyk trafił więc w końcu w ich ręce, a swojską nazwę zastąpił Lake Park właśnie. Stąd też anglojęzyczna sentencja na opasce, którą miałem na prawej ręce.

Do domku nr 20 dotarłem po kolejnych 100 metrach. Woda w butach chlupała koszmarnie. Po drodze nie spotkałem nikogo. Nic dziwnego, zapewne wszyscy bawili na plaży. Na podjeździe nie stało też żadne auto. A zatem przyjechałem tu sam. Zawsze bowiem, gdy wybierałem się za miasto

w pojedynkę, ruszałem na miejsce kolejną. Trochę w tym było mrocznej miłości do prozy Stefana Grabińskiego, a trochę osobistej niechęci do siadania za kółko. W podróży ręce wołałem mieć zajęte książką. Nie bez powodu znajomi nazywali mnie niereformowalnym *boomerem*...

Dlaczego jednak przyjechałem sam? Czyżbym w Łagowie zjawił się służbowo? Reakcja turystów zdawała się to potwierdzać. Miałem nadzieję, że od odpowiedzi dzielą mnie już tylko zamknięte drzwi domku letniskowego. Z kluczem w ręku niemal wbiegłem na werandę.

Drzwi były uchylone... Co jest, do cholery!? Mogłem stracić pamięć, ale chyba nie zapomniałem za sobą zamknąć? Bynajmniej. Już drugi raz tego ranka poczułem, jak zalewa mnie fala gorąca. Natychmiast bowiem dostrzegłem na futrynie ślady włamania. Ktoś podważył zamek, zostawiając przy tym głębokie zadrapania na drewnie.

Stałem w progu, nasłuchując. Nic, cisza. W amerykańskim filmie zostałem w takim momencie zaskoczony hałasem spowodowanym przez buszującego w śmieciach szopa pracza. Ale życie to nie film.

Zajrzałem do środka. W przedsionku stała para butów, bez wątpienia moich i, o bogowie, suchych! Ten luksus musiał jednak poczekać. Cofnąłem się i chwyciłem za miotłę, która stała oparta o murowany komin grilla przylegającego do ściany frontowej. Tak uzbrojony z impetem wpadłem do salonu, gotów przegonić włamywacza. Tyle że żadnego nie zastałem. Odwróciłem się na pięcie i powtórzyłem tę akcję w sypialni. Tu także nie było nikogo. Za to w obu pomieszczeniach panował niewyobrażalny wręcz bałagan. Ktoś z pasją godną podziwu niemal przenicował moje bagaże i garderobę.

Nie było mi z tym do śmiechu, jednak mimo woli parsknąłem. Okradziono mnie, a ja nie miałem nawet pojęcia, jakie fanty mogły paść łupem. Nie pamiętałem bowiem, co ze sobą przywiozłem i czy tym razem mój bagaż mógł wykraczać poza wakacyjny standard. A jednak pewien szczegół zdradzał mi, że ta akurat wizyta w Łagowie różniła się od poprzednich.

Na wczasy brałem zazwyczaj nie więcej niż dwie książki tradycyjne lub po prostu czytnik e-booków. Nie szeleścił przy przerzucaniu stron, nie pachniał farbą drukarską, ale, do diaska!, potrafił pomieścić kilka tysięcy tytułów, a z powodzeniem mogłem go schować w niemal każdej kieszeni.

Tymczasem salon pełen był bezładnie rozrzuconych książek. Wyglądało, jak gdybym z zimną krwią obrabował księgarnię. Nienawidzę braku szacunku do słowa drukowanego, więc zacząłem zbierać z podłogi wszystkie tomy i układać je na stoliku.

Jeśli te książki były moje, to zdecydowanie postawiłem na monotematyczność. Uwagę zwracała przede wszystkim wielka, wspaniale wydana przez Zamek Królewski w Warszawie monografia „Joannici i ich związki z ziemiąmi polskimi”. Potem byli „Kawalerowie maltańscy” H. J. A. Sirego, „Joannici. Historia zakonu maltańskiego” Bertranda Flavigny, „Korsarze Chrystusa” Jörga-Dietera Brandesa, „Szpitalnicy, joannici, kawalerowie maltańscy” Tadeusza Langego i „Tajemnice zakonu maltańskiego” Jarosława Sozańskiego. A dalej „Mnisi wojny” Desmonda Sewarda, „Rycerze Chrystusa” Alaina Demurgera, „Wojownicy Pana” Michaela Walsha, „Zakony rycerskie” Edwarda Potkowskiego i „Tajemnice średniowiecza. Sekretne historia zakonów” Jorge Blaschkego.

Sponiewieraną przez włamywacza bibliografię uzupełniały liczne prace naukowe wydrukowane z sieci i zbindowane. Większość dotyczyła Baliwatu Brandenburskiego, joannickiej komandorii w Łagowie i wzniesionego przez zakonników zamku.

Z każdej publikacji wystawały samoprzylepne zakładki, wiele ustępów zaznaczono pomarańczowym zakreślaczem, a na marginesach widniały notatki. Niezaprzeczalnie moje. Z rozpoznaniem własnego charakteru pisma nie miałem na szczęście problemu. Gorzej, że nie pamiętałem tych wszystkich publikacji w ogóle, choć przecież czułem, że znam ich treść i każdą z osobna musiałem uważnie studiować.

To prawda, kochałem Łagów i interesowałem się jego historią, ale tym razem wyglądało to tak, jak gdybym chciał się doktoryzować. W sumie dlaczego nie? Niestety, wiedza musiała mi zaszkodzić, o czym uparcie zaświadczała pulsująca bólem rana na potylicy. Nie wierzyłem tu w żaden przypadek.

Być może powinienem był teraz w spokoju przejrzeć zebrane publikacje, a zwłaszcza zawarte w nich notatki i podkreślenia, ale nie liczyłem na objawienie. Musiałem za to przeszukać domek pod kątem innych okruchów pamięci. I znaleźć przy tym środki przeciwbólowe.

Otworzyłem wszystkie szafki, zajrzałem nawet pod łóżko w sypialni. Wszędzie były tylko książki, ubrania i kosmetyki. Starąłem się być skrupulatny, a jednak prawie przeoczyłem rzucony w kąt portfel. W środku znalazłem komplet dokumentów, karty kredytowe i pieniądze w gotówce. Włamywacz raczej nie wziął ani grosza. Z pewnością nie wpadł do mnie, by pożyczyć stówkę.

Brakowało za to w domu artefaktu, na jakim zależało mi najbardziej. Nie znalazłem laptopa, który zabierałem ze sobą w każdą podróż. Pał sześć jego wartość, bo nigdy nie używałem sprzętu z górnej półki. Liczyłem jednak na to, że dzięki niemu uzyskam większość odpowiedzi. Ta strata naprawdę mnie zaboląa, więc spróbowałem ulżyć sobie wymyślnym przekleństwem. Nie pomogło.

Usiadłem w fotelu, by zebrać myśli, i natychmiast poderwałem się jak oparzony. Zdałem sobie sprawę, że nadal jestem mokry. Sprawdziłem drzwi wejściowe, przekonałem się, że zamek wciąż działa, przekręciłem klucz i czym prędzej zrzuciłem ubrania na podłogę.

W łazience znalazłem kosmetyczkę, a w niej tabletki przeciwbólowe. Połknąłem dwie i wskoczyłem pod prysznic. Gorąca woda zmyła krew z potylicy, rozluźniła mięśnie i pozwoliła mi na moment się zrelaksować. Poczułem za to, że doskwierają mi zmęczenie i głód. Po wyjściu z łazienki przejrziałem szafę i naprędce zebrane z ziemi ubrania. Wszystkie pomięte, ale

czyste. Zdecydowałem się na džinsy rybaczki, T-shirt z Gretą van Fleet, skarpetki z Garfieldem i trampki, które dostrzegłem w przedsionku. Na wszelki wypadek założyłem też lekką bluzę z kapturem i od razu przeszukałem jej kieszenie. Trafiłem na miniaturową latarkę i opakowanie kocich smakołyków. Trudno to było uznać za jakąkolwiek podpowiedź. Ponownie przekręciłem klucz w zamku, ostrożnie uchyliłem drzwi, rozejrzałem się dookoła i z nieco wymuszoną pewnością siebie wyszedłem na werandę. W okolicy nie było żywej duszy.

Nie miałem pojęcia, kiedy ostatnio jadłem. Potrzebowałem sutego posiłku i przynajmniej dwóch kubków kawy, której zresztą nigdy sobie nie żałowałem. Na szczęście wiedziałem, gdzie mam się w tym celu udać.

Niecałe 100 metrów od domku nr 20 na skarpie górującej malowniczo nad plażą działała restauracja Ważka. Ceniłem ją za wystrój, położenie i, rzecz jasna, menu. Mimo to ruszyłem w przeciwną stronę, do bramy ośrodka. Owszem, do niektórych eksperymentów tutejszego szefa kuchni miałem zastrzeżenia. Tym razem jednak po prostu nie chciałem zjawiać się w lokalu, który w sezonie na frekwencję nie narzekał. Wciąż bowiem zakładałem, że mój anonimowy prześladowca musiał być w pobliżu. Ktoś, kto uderzył mnie w głowę i najpewniej zrzucił do jeziora, a następnie włamał się do domu letniskowego i przeszukał go w filmowym wręcz stylu, nadal mógł czyhać na moje życie.

Chyba że faktycznie znalazł to, czego szukał, i odjechał w siną dal. W to jednak śmiałem wątpić. Niestety, nie miałem nawet pojęcia, jak ów osobnik wyglądał. W restauracji pełnej gości czułbym się więc jak popisowe danie Wojciecha Amaro rzucone na środek stołu.

Na szczęście miałem w Łagowie dwoje przyjaciół. Biorąc pod uwagę, co musiało mnie spotkać w ciągu ostatniej doby, były to jedyne osoby, którym mogłem teraz zaufać. Co więcej, logistyka odwiedzin u obu wydawała się wręcz doskonała. Mateusz prowadził streetfoodowy lokal Bingo, w którym

bezczelnie zajadałem się wegeburgerami i dopychałem deserami lodowymi. Wioletta natomiast była menedżerką hotelu i restauracji na zamku joannitów. Choć bywałem tu raz do roku, znaliśmy się już na tyle dobrze, że mogliśmy razem konie kraść. Oczywiście jeśli tylko jakiegokolwiek byłyby w okolicy. U obojga też zawsze mogłem liczyć na gościnę.

Aktualnie bliżej miałem do Bingo i tam też postanowiłem powalczyć z głodem. Zaraz potem musiałem udać się do Wioletty, by wyjaśnić, o jakim to spotkaniu na zamku mówili turyści, których widziałem na jeziorze.

Dręczyła mnie myśl o własnej amnezji. Z jednej strony powinienem ten fakt ukryć, gdyż w obecnej sytuacji stanowił moją piętę achillesową. Z drugiej musiałem przyznać się przyjaciołom, chociażby po to, by nie wyjść na głupca. A potem w spokoju i z pełnym już żołądkiem zastanowić się, co dalej. O wizycie na policji nie myślałem natomiast w ogóle. Cóż miałbym tam powiedzieć? Że ktoś mnie okradł i sponiewierał, a ja nic nie pamiętam? I że sprawca nie był zainteresowany pieniędzmi w portfelu, a zabrał jedynie stary, wysłużony laptop i zostawił mi w spadku stajnię Augiasza? Wyglądało to i brzmiało niedorzecznie.

Niemal na palcach przebiegłem ścieżkę od domku nr 20 wzdłuż piętrowego apartamentowca do bramy ośrodka. Wciąż nikogo. Doskonale, byłem wręcz niewidzialny. Przynajmniej przez dwie minuty. Kiedy bowiem mijalem recepcję, siedzący wewnątrz pracownik ochrony zerwał się na mój widok i wybiegł przed budynek.

— Będę, panie redaktorze, będę dziś wieczorem na zamku! — krzyknął.

— Cieszę się i zapraszam serdecznie — odpowiedziałem, czując, jak skacze mi ciśnienie. — Tylko się wszyscy nie zesrajcie — dodałem, ale już bezgłośnie i tylko na własny użytek.

W co ja się wpakowałem? Może Wiola i Matt będą znali odpowiedź? Oby... Pomachałem ochroniarzowi, przekroczyłem bramę i skierowałem się w lewo ulicą Spacerową. Do Bingo miałem niecały kilometr, który zamierza-

łem przejść w spokoju. Tymczasem od strony Łagowa nadjechał nagle fantazyjny czerwony kabriolet wypakowany ludźmi. Gdy auto zrównało się ze mną, kierowca przyhamował z piskiem opon i rozdziawił usta.

— Dziś o 18.00! Skarby, lochy i smoki! — zawył jak potępieniec, a ja zapragnąłem mieć pod ręką choć jeden zgniły pomidor. Nie spudłowałem. Wyszczrzyłem jednak zęby w uśmiechu, odczekałem, aż auto zniknie za zakrętem i rzuciłem naprawdę szpetnym przekleństwem. W odpowiedzi samotny gawron zerwał się z gałęzi pobliskiego drzewa i kracząc, zdegustowany odleciał w dal. *Nevermore...*

Narzuciłem na głowę kaptur, wbiłem wzrok w ziemię i w zaimprovizowanej tak wersji *incognito*, niezaczepiany już przez nikogo, ruszyłem w stronę skrzyżowania z ulicą Łazienkową, gdzie znajdował się największy w okolicy parking i stały pierwsze lokale gastronomiczne.

Tu też zazwyczaj rozpoczynał się, zwłaszcza w weekendy, turystyczny tłok, który dla mieszkańców stanowił w równym stopniu błogosławieństwo i przekleństwo. Przyjezdni zostawiali pieniądze, owszem, ale też wprowadzali rozgardiasz. *Quid pro quo*. Społeczność Łagowa wciąż jednak z zarządzaniem hałasem turystów radziła sobie znakomicie, a brak dyskotek i klubów nocnych sprawiał, iż sezon przebiegał tu bez burd i alkoholowych ekscesów.

Wokół mnie zrobiło się gwaro, ale nie zwróciłem na to uwagi, zajęty kontemplowaniem własnej amnezji. Dręczyły mnie pytania bez odpowiedzi, a swoje trzy grosze dorzucał też głód. Nie narzekałem w życiu na nudę, ale tym razem musiałem wpakować się w naprawdę grubą kabałę. Na koncie miałem kilka zakończonych sukcesem śledztw dziennikarskich, których wynik uczynił mnie w środowiskach urzędniczych wrogiem nr 1. Ba, zdarzało mi się nawet odbierać maile z pogrózkami. W sieci każdy był odważny. Nikt jednak nie posunął się nigdy do fizycznego ataku. Aż do teraz...

Nagle tuż nad moją głową rozległo się rzenie konia. Serce skoczyło mi do gardła, stanąłem jak wryty i zrzuciłem kaptur, by przekonać się, że w zamyśle-

niu niemal wpadłem pod kopyta rumaka. Ale na Boga, cóż to było za zwierzę! Nie uważałem się za znawcę, lecz imponujący rozmiar, silne umięśnienie i obfite szczotki na nogach wskazywały na rasę *shire*. Koń okryty był czerwonym kropierzem z naszytym nań prostym białym krzyżem.

A jednak to nie on, lecz jego jeździec kradł niemal cały show. W siodle rozpierał się bowiem rycerz w zbroi kolczej uzupełnionej płytowymi naramiennikami i nogawicami, z mieczem u pasa. Kolczugę okrywała mu tunika, podobnie jak koński kropierz czerwona z białym krzyżem. Na głowie natomiast nosił hełm w typie późnego basinetu z opuszczoną na twarz zasłoną klapową. Ani chybi miałem przed sobą rycerza zakonu joannitów z połowy XIV wieku.

Nie był to mój najlepszy dzień, więc minęło dobre kilka sekund, nim połączyłem kropki. W Łagowie musiał odbywać się właśnie coroczny Jarmark Joannitów, w czasie którego pod zamkiem i na ulicach prezentowały się grupy rekonstrukcyjne. To oznaczało pokazy rycerskie, dobrą zabawę i, niestety, tłumy, których wolałem obecnie unikać. Biorąc pod uwagę liczbę gapiów, których zresztą zoczyłem poniewczasie, na to było już jednak za późno.

Gdy tylko otrząsnąłem się z szoku, dostrzegłem w tej scenie zabawny eklektyzm. Średniowieczny rycerz reprezentujący tu Baliwat Brandenburski dosiadał rumaka angielskiego rasy wyodrębnionej dopiero w XIX wieku. Pal sześć jednak poprawność historyczną. Ten obrazek naprawdę robił wrażenie. A gdyby się uprzeć, można było argumentować, że rasa *shire* korzenie miała przecież w średniowieczu i związana była z eksperymentami hodowlanymi ówczesnego rycerstwa, które zawsze poszukiwało koni dużych i ciężkich.

Jeździec pogmerał w przytroczonej sakwie, nachylił się i wyciągnął rękę z papierową, niewątpliwie współczesną ulotką. Nim jednak zdążyłem po nią sięgnąć, zastygł w połowie ruchu, po czym cofnął się w siodle, podniósł zasłonę hełmu i wytrzeszczył oczy.

— Szlachetny pan raczy wręczyć mi ten pergamin, nim zajdzie słońce? — zapytałem, dla odmiany bardziej rozbawiony niż zirytowany. Zdałem sobie przy tym sprawę, że rycerz dystrybuował zapewne program trwającej w Łagowie imprezy, a to z kolei mogło być dla mnie źródłem cennych informacji. Zaplanowane na dziś spotkanie na zamku z pewnością bowiem uwzględniono w druku.

Jeździec nachylił się ponownie, a zasłona hełmu opadła z głośnym szczękiem dokładnie w momencie, gdy wyrwałem mu z ręki reklamówkę.

— Dziękuję i z Bogiem — rzuciłem, pogłaskałem konia po chrapach i odsunąłem się na bok, by nie wpaść mu ponownie pod kopyta. Rycerz wymamrotał coś niezrozumiale i po chwili wahania ruszył dalej. Ja tymczasem wbiłem wzrok w ulotkę. A dokładnie we własną twarz...

Na froncie reklamówki formatu A5 wydrukowano moją portretową fotografię, której nie znałem, a raczej nie pamiętałem. Patrzyłem prosto w obiektyw, a na ustach błdził mi półuśmiech. W prawej ręce trzymałem przyciśniętą do piersi monografię „Joannici i ich związki z ziemią polskimi”. Zapewne ten sam egzemplarz, który znalazłem w domku letniskowym. W oczu rzucał się jeszcze jeden detal. W butonierce granatowej casualowej marynarki *windowpane* błyszczała srebrna przypinka — ośmioramienny krzyż maltański, który od wieków był symbolem zakonu joannitów. Ten sam zresztą, który widniał obecnie w herbie Łagowa.

— Czy mogę prosić o autograf? — usłyszałem za sobą. Obróciłem się i podniosłem wzrok. Wokół mnie gęstniał tłum gapiów. Wszyscy trzymali w ręku tę cholerną ulotkę. Rycerz na koniu zaiste nie próżnował.

— A podpisze mi pan plakat? — zapytał ktoś z zebranych, machając papierowym rulonem. Plakat? Moment, jaki znowu plakat?

I wtedy to zobaczyłem. Okolica wyglądała jak po najeździe gangu szalonych poligrafów. Wszędzie przymocowane były plakaty — na stojakach z dykty rozstawionych po obu stronach ulicy, na ogrodzeniu baru rybnego,

na ścianach food trucków. Ba, na parkingu stała przyczepa z zamocowanym na niej billboardem. Wszystkie afisze niezależnie od rozmiaru krzyczały słowem „SKARB!”, a patrzyła z nich twarz Piotra Dobrowolskiego. Moja własna twarz...

